Rozmaitości

Dnia 2. Września   Nr 35.   1837 Roku.

SZCZEGÓŁY
POPRZEDZAJĄCE ZAŚLUBIENIE
LUDWIKA XV. Z MARYJĄ LESZCZYŃSKĄ.

(Z listu z Paryża z miesiąca lipca.)

W ostatnim zeszycie, wychodzącego tu pisma peryjodycznego *Revue retrospective*, umieszczona jest wiadomość o okolicznościach, które poprzedziły zaślubienie Ludwika XV. z Maryją, córką Stanisława Leszczyńskiego. Listy, rzecz tę wyjaśniające, świeżo odkryte zostały w publicznych archiwach tutejszych. Był naówczas pierwszym ministrem króla francuzkiego książę Bourbon. On pierwszy przełożył młodemu królowi potrzebę wnijścia w związki małżeńskie i w tym celu spisał mu listę stu księżniczek. W téj liczbie znajdowała się i Maryja. Przy końcu tego przedstawienia uczynił jednak książę Bourbon uwagę, że ze stu panien do wyboru królowi podanych, czterdzieści cztéry znajduje się w wieku, niestosownym dla młodego króla, a dwadzieścia dziewięć w wieku dziecinnym. Dziesięć innych, pomiędzy któremi umieścił także Maryję Leszczyńskę, naówczas trzynasto-letnią, zdawało mu się nie odpowiadać znaczeniu i godności króla francuzkiego. Tak więc z tych stu księżniczek pozostawało Ludwikowi do wyboru tylko siedmnaście. Ale znowu z tych siedmnastu jedne były już zaręczone, inne słabowite, inne, jak np: carówna Anna, wychowane były w zwyczajach, nieznanych Francuzom, albo miały ojców, których polityka mogła była stawać na przeszkodzie widokom gabinetu francuzkiego; tak, że minister życzył w końcu królowi wybierać tylko z cztérech księżniczek, dwóch angielskich, a dwóch z linii Bourbonów hiszpańskich. Zdaje się, że wybór króla padł był na jednę z ostatnich księżniczek, krewnę pierwszego jego ministra księcia Bourbon. Zaszły już były w téj mierze pewne porozumienia i zobowiązania z dworem madryckim. Listy, umieszczone w *Revue retrospective*, nie wyjaśniają tego zupełnie, ale pokazują, że Ludwik musiał zerwać zawiązane już stosunki, kiedy do papieża pisał, prosząc go, aby nieporozumieniom z tego zerwania wypaść mogącym, zapobiegł i króla hiszpańskiego przeprosił. Następujący list księcia Bourbon jest już odpowiedzią na list Stanisława. Książę Bourbon, pisząc do niego, kładzie na początku *Monseigneur*, a w ciągu listu pisze zawsze *Votre Majesté.*

»Versailles, kwiecień 1725. Nie wiém, jakich mam użyć wyrazów, chcąc W. K. Mości oświadczyć wdzięczność za tyle dobroci, wyrażonéj w liście odpowiadającym na odezwę, którą miałem zaszczyt przesłać W. K. Mości z uwiadomieniem, że król postanowił prosić o rękę księżniczki, córki W. K. M. List ten napełnia mię radością z powodu zapewnień przyjaźni i zaufania W. K. M. Położę sobie za prawidło całego życia, dokładać starań, abym się nie stał ich niegodnym i upraszam, aby mi wolno było mieć nadzieję, że W. K. M. zaszczycać mnie nie przestanie jednakowém uczuciem. Lubo listem, który pisać miałem zaszczyt, pragnąłem tylko jak najspieszniéj uwiadomić W. K. M. o rzeczy, jak sądziłem dla W. K. M. przyjemnéj i tak, jak gdyby król o nim nie wiedział, jednak otrzymawszy odpowiedź, nie mógłem na sobie przenieść, iżbym jéj natychmiast nie był poniósł królowi. Nie zdołam wyrazić, jak wielce rozrzewniły go czułe, wdzięczne, radosne, religijne, pełne rozumu wyrazy W. K. Mości. Król Jmć prze-

widuje teraz tym lepiéj przyszłe swoje szczęście z córką takiego ojca i nie może wątpić, iżby nie przyniosła z sobą na świat cnót ojcowskich. Słabą byłaby moja wymowa do wyrażenia W. K. M. jak dalece czuły jestem za łaskawy zaszczyt dania mi tytułu ojca i za wyrażenie woli, aby król otrzymał małżonkę z rąk moich. Taki nadmiar grzeczności nakazuje mi wdzięczność, ale nie zaślepia mię do tego stopnia, iżbym siebie nie poznawał. Tak więc nie mogąc w tém usłuchać W. K. M., proszę tylko, aby księżniczka, córka W. K. M., uważała mię za swego najwierniejszego, do swéj osoby najprzywiązańszego poddanego, za najgorliwszego sługę kraju i za dalekiego od ulegania własnym widokom. Śmiem zapewnić, że w téj sposobności składałem królowi dowód mojéj bezinteresowności, kiedy radziłem mu zaślubić księżniczkę, od któréj zależało szczęście mojego życia.*) Przyznam nawet W. K. M., że nie mogę wspomnieć o tém bez żalu, i że pocieszam się jedynie myślą, iż król zaszczycając mię swojém zaufaniem i polecając mi staranie o dobro kraju, wkłada na mnie zarazem obowiązek zapominania o własnych interesach, i oddania się jego pomyślności, szczęściu jego ludów i pożytkowi kraju. Nic bardziéj tym trzem warunkom zadosyć uczynić nie może, jak połączenie się jego z księżniczką Maryją. Jakoż winienem podziękować Wszechmocnemu, że mi podał sposobność okazania w obec świata, przywiązania do mego pana, gorliwości w służeniu mu, uszanowania dla cnót jego i księżniczki, córki W. K. M., bez względu na osobiste moje widoki. Pozostaje mi tylko uwiadomić W. K. M., że infantka wyjechała d. 5. t. m., i że teraz zajęty jestem wyszukiwaniem z dziejów zwyczaju obrzędowego, aby go przywieść do skutku, jak tylko tego dozwolą przyzwoitość względem króla hiszpańskiego i nieodzowne w podobnych okolicznościach przysposobienia. Powierzam list ten panu Vauchoux, posiadającemu, ile mi się zdaje, zaufanie W. K. M., człowiekowi mądremu, roztropnemu, gorliwemu o wszystko, co się tycze W. K. M., i do mojéj osoby przywiązanemu. Zdawało mi się, że W. K. M. przyjemniéj będzie słyszeć od niego, niż z ust innych, wiele szczegółów, o których trudno pisać, i które W. K. M., oraz księżniczka, córka W. K. M., radzi wiedzieć będą. Ponieważ cnoty W. K. M. są niepospolite i nie wszędzie się znachodzą, a przytém, gdy na takim, jak francuzki, dworze, liczne zachodzą pobudki, które wpływają na osoby dwór składające, powierzyłem panu Vauchoux pismo, które wyjaśnia interesa i charaktery każdego, co tam jakąkolwiek rolę grać może i ustnie wtajemniczyłem go w mnóstwo szczegółów, które mało komu są wiadome, a to, aby opowiedział, coby w pismie mogło być opuszczone. Jakoż proszę W. K. M., abyś zachował w tajemnicy wspomnione pismo, zaufał wszystkiemu, co ode mnie powié pan Vauchoux, i nie brał mi tego za złe, że mało mówię dobrego o wielu osobach. Ale ten sam obowiązek, który mną powoduje, wkłada na mnie powinność mówienia, bez względu na osoby, prawdę i księżniczce, która zostanie moją panią, i królowi, który tyle, ile W. K. M. okazuje mi dobroci. Sądzę bowiem, iż przyjemnie i bardzo właściwie będzie księżniczce Maryi, zaraz po przybyciu do tego kraju, wiedziéć w części przynajmniéj, co się tu dzieje, bo wtedy każdy starać się będzie pokazać się innym, niż jest w rzeczy samėj. Tak więc spodziewam się, że W. K. M. uzna za nowy dowód przywiązania mego otwartość, z jaką panu Vauchoux mówić kazałem. Nie mogę i tego pominąć, że nie widziałem nigdy podobnéj radości, z jaką pan Vauchoux przyjął moje polecenie; gdybym był nie wiedział o przywiązaniu jego do W. K. M., nie byłbym mógł już z tego wątpić, że szanuje i miłuje W. K. M. nad wszelki wyraz. Pozostaje mi tylko ponowić zapewnienie, że nie zdołam nic dodać do prawdziwego poświęcenia, z jakiém jestem W. K. Mości najniższym i najposłuszniejszym sługą.«

L. Henryk de Bourbon.

Nie obeszło się jednak bez intryg i przeszkód, nim Maryja zawarła śluby małżeńskie z Ludwikiem XV. Rozgłoszono, że ciérpi wielką chorobę, i że zawiedzie oczekiwania króla. Ks. Bourbon nie zważał z razu na pogłoski, ale kiedy otrzymał list od znakomitéj osoby, która przestrzegała go, aby nie narażał króla na nieprzyjemne związki i kiedy mu wskazano zakonnicę, od któréj matka Maryi

*) Infantka hiszpańska była krewną piszącego list ten księcia Bourbon.

dostawała lekarstwo na tę chorobę, postanowił napisać dnia 3. maja 1725 list do Stanisława Leszczyńskiego, w którym, lubo oświadcza, że pogłoskom tym nie wierzy, zapowiada jednak przysłanie lekarza królewskiego dla przeświadczenia się o zdrowiu Maryi. W kilka dni potém pisał do marszałka Dubourg, polecając mu, aby od lekarza w Strasburgu, który był używany od Leszczyńskich, o stanie zdrowia ich córki powziął wiadomość. Cała osnowa tych listów, oraz dana przez księcia Bourbon instrukcyja lekarzowi Duphenix, znajduje się w *Revue retrospective.* Powiedziano w téj instrukcyi, że królowa polska, matka Maryi, radzić się miała względem choroby swéj córki pewnéj zakonnicy w Treves, i że od niéj miała otrzymać stosowne lekarstwo. Okoliczność tę kazano sprawdzić. Badano zakonnicę, która przyznała, że królowa Leszczyńska radziła się jéj istotnie, za pośrednictwem przywiązanego do jéj domu księdza kanonika Maliszewskiego, względem wielkiéj choroby, ale że to było jeszcze r. 1716, i że panna, dla któréj chciała mieć lekarstwo, wtenczas już miała lat 30, łatwo potwarz, na córkę Stanisława rzucona, została rozproszoną. Pan Vauchoux, przesyłając księciu Bourbon świadectwo zdrowia Maryi, podpisane przez lekarzy Duphenix i Mengue, tak mówi o wrażeniu, jakie na Stanisławie intrygi te sprawiły: »Król Stanisław nie dziwi się, że tak wielkie szczęście sprowadziło na jego córkę najwyszukańszą potwarz. Cała Europa mu zazdrości, i był pewny, że nie jedno usiłowanie będzie chciało rozerwać zamyślony związek.« Podług świadectwa lekarzy Maryja Leszczyńska używała jak najczerstwiejszego zdrowia. Po takiém przekonaniu się, pisał znowu książę Bourbon do Stanisława, przepraszając go za nieprzyjemności, jakie to śledztwo mogło mu sprawić, i radując się, że wypadło pomyślnie. Względem ślubu donosi, że przyzwoitość względem króla hiszpańskiego, skłania jeszcze Ludwika do odwłoki obrzędu. Król ten był istotnie tak oburzony na Ludwika za zerwanie z infantką, że na dwa jego listy nic nie odpowiedział; trzeci list przepraszający posłany był za pośrednictwem papieża. Najwięcéj przeciwnym zaślubieniu Maryi z Ludwikiem zdawał się być król sardyński, dziad Ludwika XV. Następujący list jego przekonywa, jak wielce musiał być zagniewany na ks. Bourbon, który lubo krewny infantki, szczérze poźniéj zajmował się wyniesieniem Maryi na tron francuzki:

»Dowiaduję się ze wszech stron, że wnuk mój, król Francyi, wkrótce ma wstąpić w związki małżeńskie z córką króla Stanisława. Odgłos ten tak mię zadziwił, jak pochwalałem zamiar wyszukania królowi małżonki, którąby mu dała potomstwo; ale można było uczynić coś lepszego, coś przyzwoitszego, niż taki wybór, który obok tego wszystkiego, co się działo pod ministerstwem w. ks. mości, nie wielkie daje wyobrażenie o jego radzie. I ponieważ ta rada nie uwiadamia w. ks. m., że w tak ważnéj okoliczności, należało przynajmniéj zapytać mnie o zdanie, winienem w. ks. m. uwiadomić, że nie tylko nie pochwałam tego związku, ale nawet, jako dziad króla zawsze sprzeciwiać się będę wszystkiemu, co ubliżać ma jego sławie, i jako król sprawię, że w. ks. mość kiedyś żałować będzie postępków, szkodliwych interesom jego państwa.«

Ten list nie zastraszył przecież, a prędzéj może obraził pierwszego ministra Ludwika XV. Listy w tym zbiorze umieszczone świadczą, że król nie dał się odwieść od ułożonego małżeństwa i zamiar swój pozwolił urzędownie ogłosić. Książę Bourbon uwiadamia o tém Maryję w liście, napełnionym grzecznościami. W tym samym czasie polecił książę Bourbon panu Vauchoux, aby zbadał księżniczkę względem wiary i osób, w których pokłada największą ufność, oraz aby mu przysłał jéj trzewik, rękawiczkę i miarę sukni. Pan Vauchoux odpisał mu, że wychowana jest pod względem religijnym przez poczciwego kapłana, że katechizm jest całą jéj wiarą, że postanowiła nie wdawać się w rozprawy religijne, że nie ma nienawiści ku innowiercom i że całe zaufanie położy w nim (księciu Bourbon). Co do trzewika, pisze, że go nie mógł dostać, ale posyła pantofel, rękawiczkę i miarę. W tym samym czasie otrzymała matka Maryi list od księżnéj Badeńskiéj, z domu księżniczki Saskiéj, z powinszowaniem szczęścia, które spotkało Maryję, i z poleceniem jéj względom swéj córki, księżnéj Orleanu. Ostatnie listy tego zbioru, pisane przez księcia Bourbon do Stanisława

Leszczyńskiego, donoszą mu o pierwszém widzeniu się króla z Maryją i o pierwszych chwilach pożycia. Maryja podobała się bardzo Ludwikowi. *X. B.*

PRZYPOMNIENIA Z WOJNY
HISZPAŃSKO-AMERYKAŃSKIÉJ.

W moim dwudziestym roku opuściłem Francyję, i zaciągnąłem się pod chorągwie obrońców ojczyzny w Ameryce, gdy najzaciętsze z Hiszpanami toczyli boje.

Wypadki wojenne zaprowadziły nas aż do wyższego Peru, a pułk, w którym zostawałem, formował przednią straż dość mocnego oddziału armii powstańców. Zamiarem naszego jenerała było opanować P*, które wtenczas wojska królewskie zajmowały. Wkroczyliśmy z największą ostrożnością do górzystego kraju, w którym liczne zgraje nieprzyjacielskich gerylasów przeciągały w różnych kierunkach. Te hordy, niebezpieczniejsze w tych pustych krajach niż wojsko regularne, szérzyły wszędzie postrach i spustoszenie, i największym były powodem uporczywéj zażartości, z którą prowadzono tę wojnę, i w której dopiéro kilka tysięcy regularnego wojska roztrzygnęło los ogromnéj części ziemi. Jeżeli mała taka liczba wojowników nie była w stosunku z ważnością sprawy, która ich uzbroiła, wojna jednak była w najwyższym stopniu zapalczywa. Utarczki nasze przybiérały charakter rzezi i zaboju. Byłato walka do upadłego. Każdy żołniérz wiedział, że nieustannie i bez spoczynku potykać się musi; każdy wiedział, że straszne prawo odwetu nakazywało, aby nieprzyjaciela nie brać w niewolę, lecz zabijać natychmiast.

Byłem porucznikiem w drugim pułku kirasyjerów; rzecz niezawodnie godna wzmianki w dziejach armii, która nigdy nawet cienia kirasu nie widziała. Byłoto tylko nazwisko, które z resztą do niczego nie obowiązywało. Pułk nasz, złożony był z żołniérzy obdartych, przybyłych z Chili, ale dzielnych i bitnych jezdzców.

Staliśmy, jak już wspomniałem, na czele naszéj kolumny, znajdującéj się w pierwszych wąwozach gór Andejskich, przez któreśmy się przeprawiać mieli. Szpiegi donieśli pułkownikowi naszemu, że się właśnie zasadził liczny nieprzyjaciel między górami, w zamiarze bronienia nam przechodu. Mówili, iż to są Indyjanie, zastęp niejakiego Benavidesa, którego nazwisko w téj wojnie krwią zapisane. Ten bandyta, godny swego nazwiska, był równie zwinny, jak nieustraszony, i w pobliżkości jego nie można było zaniedbywać żadnéj ostrożności wojskowéj. Odebrałem przeto rozkaz wyruszyć z sześcią ludźmi. Według nakazu miałem, ile możności, zbliżyć się do nieprzyjaciela, dla rozpoznania na własne oczy jego stanowiska. Wybrałem sobie sześciu ludzi, na których spuścić się mógłem, i wyruszyłem z moim oddziałem o trzeciéj godzinie po południu. Udałem się wązką doliną uformowaną łożem wyschniętego strumienia. W milczeniu i bez najmniejszéj zawady jechaliśmy prawie całą godzinę, gdy oto, przeprawiając się około gór piasczystych, w téjże chwili dał się słyszéć głos na ich szczytach, który za nami i przed nami został powtórzonym, lubo oczy nasze nie spostrzegły żadnéj istoty ludzkiéj. Usłyszawszy nieszczęsną przepowiednię, kazałem stanąć; ale napróżno śledził wzrok nasz w rozpadlinach skał nieprzyjaciela; wszędzie osiadła znowu w tych pustyniach grobowa cisza i nie widać było żadnéj duszy. Powinienem był wtedy dać rozkaz do odwrotu, bo widocznie w tém miejscu był nieprzyjaciel. Nie wiém, jakie szaleństwo młodego wieku było mi na przeszkodzie i popędziło mnie daléj. Zaledwo ujechałem jeszcze dwadzieścia kroków, a już ujrzałem skutki mojéj nieroztropności; porządnie z pośród skał wymierzony grad kul karabinowych położył trupem czterech z moich ludzi. Wtedy chciałem się cofnąć z dwoma, którzy mi jeszcze pozostali, ale już było za późno; pietnastu do dwudziestu ludzi wypadło z zasadzek i zastąpiło mi drogę. W rozpaczy natarliśmy końmi na zastęp nieprzyjacielski, ale nie mogliśmy go przełamać. Potykając się jeszcze przez kilka chwil jak lwy zażarte, padliśmy wszyscy trzej na placu, moi obaj żołniérze na śmierć zabici, a ja sam ciężko raniony.

Według zwyczaju w owym kraju ogołocono mię ze wszystkiego; z wielką biedą wymogłem na nich, że mi na ten krótki czas, który jeszcze żyć miałem, zostawiono koszulę i krwią zbroczone spodnie. Wszelako umówili

się, że gdybym miał być roztrzelanym, zdejmą ze mnie koszulę, aby jéj, jakto mówił jeden przystojny Mulat, nie podziurawić. W czasie téj umowy względem mojéj koszuli, postanowiono najprzód stawić mnie przed Benavidesem, który, jako oficéra, miał mnie badać względem stanowiska i siły naszego wojska. Ponieważ dla utkwionéj w udzie kuli, nie mógłem utrzymać się na nogach, położono mię na noszach, zrobionych na prędce, i natychmiast zaniesiono na miejsce, gdzie dowódzca miał swą główną kwatérę, czyli raczéj jaskinię. Zdawało mi się, iż droga nie miała końca; doznawałem niewymownych boleści. Nareszcie przybyliśmy na miejsce. W téj chwili otoczyły mię twarze od słońca ogorzałe, nie wróżące mi nic dobrego; bo nie widziałem w nich żadnego wzroku politowania, żadnego znaku udziału.

W tém ukazał się Benavides, obwinięty swym białym płaszczem, *poncho* zwanym; wszyscy przyjęli go z uszanowaniem i na jego rozkaz oddaliła się gawiedź ciekawa. Zostałem z nim sam na sam. Byłto człowiek średniego wzrostu, miał szpakowate włosy, a na twarzy jego malowały się chytrość i okrucieństwo. Obracając palcami cygaro, patrzał na mnie przez kilka chwil w milczeniu; poczém zaczął mi dawać zapytania względem naszéj siły, planów, stanowiska i tym podobnie. Odpowiadałem na nie z ostrożnością, jaką winien byłem naszéj sprawie, ale z zadziwieniem postrzegłem, iż tak dokładnie, jak ja, wiedział o wszystkiém, i z uśmiéchem prostował umyślne pomyłki w mych odpowiedziach. Według doniesień otrzymanych, wiedział dobrze, iżby nierozsądkiem było nas atakować, i dla tego swe wojsko rozłożył, że nas miał tylko niepokoić i draźnić, a jak się poźniéj okazało, swoje główne zamachy do przyjaźniejszéj sposobności zachował. Spodziewałem się niezawodnie, że koniec mojéj z nim rozmowy, będzie końcem memu życiu; ale jak mocno się zdziwiłem usłyszawszy, że wydał rozkaz, aby mnie wsadzić na muła, skoro wojsko wieczorem w pochód ruszy. Młodość moja zmiękczyła srogie serce Benavidesa; ten, co nie przebaczył nigdy żadnemu krajowcowi, darował mi życie, o którém nawet go nie prosił. Wpadałem na rozmaite domysły. Zachowałże mnie dla tego, aby poźniéj ze mnie zrobić ofiarę? Nie postrzegłem ku temu żadnego znaku. Ale łagodność ta była tak nadzwyczajnem zjawieniem i takiém przeciwieństwem z téj wojny zwyczajami, że nie mógłem temu dać wiary; a jednak bardzo dobrze zrozumiałem rozkaz wydany. Tysiączne domniemania krzyżowały się w mym umyśle, aż do godziny, gdyśmy się w pochód udali. Około piérwszéj godziny z rana, jak postanowiono, ruszyła z miejsca cała horda. Wsadzono mię na muła między dwa ciężkie wory, napełnione kukurudzą. Związano mi w tył ręce i ramiona; byłato niepotrzebna ostrożność w stanie mojego osłabienia. Straż odwodowa, w któréj się znajdowałem, konwojowała ciężki ładunek, i tylko zwolna się posuwała, tak, żeśmy zostali w tyle za głównym korpusem, który sporym krokiem ciągnął przed nami. Ze świtem dnia korpus główny zostawił nas prawie na dwie mile od siebie; dowódzca nie czekał nas; wiadomém było miejsce, gdzie się wszyscy zgromadzić mieli; tym bardziéj, że małym oddziałem téj tylnéj straży dowodził jeden z najzaufańszych jego poruczników, nazwiskiem Manuel.

W tym stanie przyszedłem nieco do siebie; niebo było błękitne; słońce piekło, a czyste powietrze gór wysokich, zażegło we mnie na nowo iskrę życia. Uprzejmym i spokojnym głosem przemówiłem kilka słów do Manuela, jak dwaj podróżni, gdy się przypadkiem zejdą. Jako żołnierz obojętny na przyszłość, zdałem się zupełnie na los szczęścia. Tymczasem postępowaliśmy bez ustanku, i postrzegliśmy zdaleka już chatę Indyjan, bawiących się łowieniem *wigoni.* Ta, pośród wysokich Kordyllerów samotna i uboga chata indyjska, była znakiem naszego gościńca; z tamtąd wzięła podróż inny kierunek. Przybywszy do téj chaty, oświadczyłem, że się chcę napić świeżéj wody. Jakaś ładna, mała dziéwczynka, mająca prawie sześć lat, przyniesła mi jéj natychmiast. Przytknęła mi sama dzbanek do ust spalonych; spojrzawszy na mnie, łagodnie uśmiéchnęła się, a gdym się napił, rzekła: »Biédaku, niechaj cię Bóg ma w swéj opiece!« onym hiszpańskim głosem, który tak słodko brzmi w ustach niewiasty lub dziecięcia. Czysta i zimna woda gór wysokich, uprzejma życzliwość szczérego i błogiego dziecięcia,

orzeźwiało ciało i duszę moję; zapomniałem o mojéj nędzy i oddaliłem się z sercem prawie uweselonem, gdy maleńka dziéwczynka zaczęła za nami wołać tak głośno, jak tylko mogła, abyśmy się wstrzymali. Biegła do nas z kwapliwością, pokazując z daleka papiér, który małą rączką po nad głową trzymała. Przybyła nareszcie zadyszała, i rzekła do Manuela: »Panie poruczniku, czy nie dla pana to zostawił ten papiér pan jenerał, który dzisiaj rano tędy przejeżdżał?« Porucznik odebrał cienki zwitek papiéru; ujrzał na wiérzchu swoje imię, rozwinął i poznał w nim pismo Benavidesa. W liście tym nie było nic więcéj, tylko te słowa, ołówkiem napisane: »Postanowiłem nie trzymać dłużéj niewolnika; każ go zabić. Benavides.«

Wiadomość ta jak piorun uderzyła we mnie. Ledwo, że mnie na chwilę opuściła myśl śmierci, ledwo, że promień nadziei zaczął wschodzić w mém sercu, już znowu miałem paść śmierci ofiarą. Przez chwilę doznawałem śmiertelnéj trwogi, ale spłaciwszy dług natury, odpowiedziałem z oziębłością, na jaką tylko zdobyć się mogłem: »Jestem gotów.«

Porucznik Manuel, przeczytawszy rozkaz swego dowódzcy, zawołał jednego ogromnego Murzyna i rzekł do niego: »Zaprowadź tego jeńca nad brzég *quebrady**), tu zaraz blizko, wypal mu w łeb z karabinu, a potém strąć trupa na dół; my w dali na ciebie zaczekamy.« To mówiąc wskazał na zwrot gościńca, niemal na pięćset kroków oddalony, którym reszta jego ludzi ciągnęło. W pożegnanie skinął mi głową i spiął swojego konia ostrogami. Zostałem sam na sam z mym oprawcą.

Nieuchronny wyrok śmierci wisiał nad moją głową; żegnałem się na zawsze z moją ojczyzną i z mémi przyjaciołmi. Wzięto mię z konia i posadzono na piasku z związanémi w tył rękami; nie mogłem stanąć i czekałem śmiertelnego wystrzału. Murzyn, który mnie na tamten świat miał posłać, zsiadł także z swego muła i zajął się odwiązywaniem karabinu; mnóstwo rzemieni, które się powikłały, utrudniły mu pracę; wreszcie dopiął swego zamiaru. Strzelba była nabita; czułem jak twardą i zimną lufę przytknął do mojéj skroni. Mimowolnie przymknąłem oczy; Murzyn odciągnął kurek, ale skałka ognia nie dała i nie zapaliła prochu: »Przeklęta strzelba!« rzecze Murzyn; »zawsze mi tak wyrabia. Radbym wiedział, zkąd też takiéj broni dla nas dobrano.« W czasie, gdy tak na przełożonego sarkał, starał się wszelkiemi sposobami naostrzyć skałkę, obtłukiwał ją stemplem, nacierał paznogciem i nasypawszy na panewkę prochu, rzekł do mnie spokojnym głosem: »No, teraz spodziéwam się, że wypali.« Ale omylił się; za trzecim i za czwartym razem równie się nie powiodło. Co się działo w méj duszy, łatwo sobie wystawić można. »Dla miłości Boga!« rzekłem nakoniec, »jeźli jesteś chrześcijaninem, przestań mnie męczyć. Nie masz innéj strzelby przy sobie, a widzisz, że twój karabin na żaden sposób nie wypali. Za pięć minut możesz miéć inny od twoich towarzyszów. Wszak widzisz, że się z miejsca ruszyć nie mogę; pójdź więc po strzelbę, zaklinam cię.« Porada moja była dobra; usłuchał jéj Murzyn. Z resztą nie miał on ku mnie ani gniewu, ani nienawiści; muszę mu oddać sprawiedliwość, że z oziębłością oprawcy starał się wypełnić rozkaz przełożonego. Postrzegłem to nie raz, że morderstwo u dzikich narodów nigdy nie jest połączone z gwałtowném poruszeniem umysłu, które u nas albo je poprzedza, albo mu towarzyszy. Dla przelania krwie ludzkiéj musi człowiek wystąpić z karbów swojéj natury; ale w Ameryce hiszpańskiéj mordował człowiek spokojnie i ozięble swego bliźniego.

Murzyn więc wsiadł na muła i odjechał. W téj okropnéj chwili, widząc się od Boga jak i od ludzi opuszczonym, w miejscu posępnéj uległości, która mnie dotąd utrzymywała, powstało nagle jakieś wściekłe szaleństwo w mojéj duszy; wydałem krzyk przeraźliwy, zacząłem targać rzemienne pęta, które mnie krępowały, i przez nadzwyczajne natężenie udało mi się nareszcie podnieść na nogi. Tak stałem niemal całą sekundę, lecz upadłszy znowu na ziemię, postrzegłem przed sobą okropną przepaść, w którą stracony być miałem. Zawlokłem się aż na samę krawędź przepaści i z wielkiém natężeniem wszystkich sił moich pchnąłem się w otchłań.

Gdym po chwili otworzył oczy, była noc ciemna; uczułem niezmierny ból we wszystkich członkach, i niewypowiedzianą ciężkość głowy. Chłód nocny i świéże powietrze powróciły mi pomału moje zmysły. Chciałem najprzód dotknąć się głowy; ale miałem ręce związane. Wtedy przypomniałem sobie wszystko, co mi się wydarzyło: zasadzkę dnia wczorajszego, pochód nocny, oddany list, Murzyna, jego strzelbę i przepaść; wszystkoto, jak urojone obrazy, snuło się w mojéj głowie. Kupa piasku, znajdująca się w téj przepaści, zbawiła mię od śmierci. Byłem okropnie potłuczony, i cały krwią oblany. Montenerosowie mniemali niezawodnie, żem się zabił, i poszli daléj w drogę; z téj strony więc byłem wolny od wszelkiego niebezpieczeństwa. Alež śmierć od kuli nie byłażby lepszą od tego położenia, w którém mnie rozpacz pogrążyła? Prawda, że żyłem, ale czyliż każda chwili nie zbliżała mnie do nieuchronnéj, straszliwéj śmierci? Zimny dreszcz, głód i boleść obłąkały okropnie moje zmysły. Nie czytałem wtedy *Mazepy* Byrona, a jednak okropny obraz kruka, snującego się nad swoim łupem, zimnym mrozem przejmował me członki. Jednego dnia widziałem, jak Arrierowie

*) *Quebrady* zowią się przepaście w wąwozach Kordylerów.

w Kordylierach zostawili młodego konia, który z trudów upadł na ziemię; koń leżał pośród drogi, a dwa kondory szarpały jego ciało, w którém jeszcze życie i boleść z oczu wyglądały. W straszliwém położeniu mojém, zdawało się mi, że się znajduję przy tym koniu; że słyszę, jak orły skrzydłami łopocą, jak mnie tłuką po twarzy... Okropna nocy! Nad rankiem uległa wreszcie natura, a ja utraciłem znowu zmysły... Lecz już zakończę tę długą powieść... Miszkańcy indyjscy, w których obecności zdarzyły się wypadki dnia przeszłego, przybyli do mnie znanemi sobie manowcami, w celu obdarcia mnie do reszty. Zastali mnie jeszcze przy życiu, wynieśli z przepaści i uratowali. Przez godzin dwadzieścia i dwie zostawałem pod ich gościnną strzéchą, gdy maleńka dziéwczynka, która ów list oddała, oznajmiła mi, że się pokazał w górach oddział zbrojnego wojska, złożony z pietnastu, do dwudziestu obdartych ludzi. »Obdarci i zbrojni ludzie,« pomyślałem sobie, »to będą moje kirasyjery;« i w saméj rzeczy byłato przednia straż mego pułku. Nie byłem w stanie odwdzięczyć się za litość moim dobroczyńcom. Odesłano mnie do szpitalu w Arice, gdziem wkrótce powrócił do zdrowia.

Z Pragi. *Sławiańskie starożytności*, przez Pawła Józefa Szafarzyka. Oddział dziejopisny. Zeszyt piąty, arkusz 41 — 50. Wydany za pomocą czeskiego Muzeum w Pradze 1837, ciskiem Jana Szpurnego. To nader dokładne dzieło, z wielką pracowitością ułożone, już 800 stronic w sobie zamyka; a w tym piątym zeszycie, od stronicy 716, Członek (rozdział) VII. *o Sławianach polskich* się zaczynając, a kończąc się na stronicy 763, tym więcéj nas zajmować powinien, lubo całe dzieło o wszystkich sławiańskich narodach mówiąc, w konieczném jest związku, i bardzo godne jest, aby się kto zajął przelaniem tegoż na polskie narzecze, bobyto do wielu uczonych poszukiwań stało się powodem. Także nie jednoby się jeszcze mogło wyśledzić, co dotąd mniéj, albo wcale nie jest znane; bo wielka jeszcze część sławiańskiéj niwy leży odłogiem, i nie jedna pozostała po przodkach na ziemi naszéj pamiątka, co dotąd niczyich jeszcze badawczych oczów na siebie nie zwróciła; cboć nam własne rzeczy najciekawiéj badać należałoby. *A.*

Z Petersburga. W Tygodniku Petersburskim Nr. 57. z b. r. są umieszczone: *Myśli o gramatyce historyczno-porównawczéj języków sławiańskich*, przez J. J. Kraszewskiego. — Od ośmiu lat pracując tenże nad tém olbrzymiém dziełem wzywa uczonych, aby mu raczyli wskazać źródła mniéj dostępne, albo nadzwyczaj rzadkie, albo wcale drukiem nieogłoszone, a ściągające się do *Gramatyki historyczno-porównawczéj języków sławiańskich*. Bez zaprzeczenia, najlepiéj wyświetlają ducha prawdziwego i nieskażonego obczyzną, języka sławiańskiego, nader rzadkie pozostałe sławiańskie przedchrześcijańskie pisma. — Dokonane szczęśliwie to nader pracowite dzieło, otworzy źródło, i stanie się nieprzebranym skarbem dla ubogacenia wszystkich narzeczy sławiańskich, i dla tego samego godzien jest szanowny przedsiębierca powszechnéj literackiéj pomocy. *A.*

Ksiądz Michał Ruttich. (Dodatek do bibliografii polskiéj.) Ks. Michał Bogusław Ruttich, kaznodzieja polski przy kościele P. Maryi w Toruniu, miał d. 12. maja r. 1723 w kościele Ś. Jerzego, kazanie z 71go Psalmu, wiersz 15 — 21, na pogrzebie Reginy Winiarzowej, Toruńczanki, która r. 1610 urodziła się, a r. 1723 d. 7. maja umarła, przeżywszy 113 lat wieku swego. Przeżyła ona w stanie małżeńskim lat 55, wdową zaś lat 28; była matką 11 dzieci, babką 24 dzieci, a 17 dzieci prababką. Przyczém to zasługuje na uwagę, iż obok jéj dzieci, wnuków i prawnuków (ponieważ dwoje pierwszych dzieci poprzedziło ją do grobu) trzecie dziecko, to jest syn jéj 68 letni, postępował za trunną swéj matki. Aż do ostatniéj chwili zachowała przytomność i dobrą pamięć, lubo na dwa lata przed skonem, wzrok i słuch miała słaby. Doczekała się przeto małżeńskiego jubileuszu, dwóch luterskich jubileuszowych obchodów i przeżyła wszystkie trzy szwedzkie oblężenia miasta Torunia, albowiem podczas pierwszego napadu Szwedów, w r. 1629 miała już 18 lat, ztąd przy dobréj swéj pamięci miała wiele do opowiadania. — Ruttich obiecał był to kazanie ogłosić drukiem, ileże miał je, jak sam powiada, napisane. Nie mógłem dowiedzieć się, czyli jest drukowane, lub nie? — Wspomniony Ruttich urodził się w Wilnie, umarł zaś w Toruniu na urzędzie kaznodziei polskiego, w r. 1728. Pierwiastkowo był nadzwyczajnym nauczycielem przy gymnazyjum toruńskiém od r. 1714 — 1717. Obejmując urząd nauczycielski miał mowę po łacinie: *De Machiavellismo Mahumedi in exogitanda et propaganda religione sua*, która po dwakroć wychodziła z druku. Posiadał dokładną wiadomość piśmiennictwa wschodniego, a mianowicie języka arabskiego. W r. 1721 wchodził był w układy z frankfortskim księgarzem Conradi względem wydania na świat tłumaczenia swego Alkoranu, ale że w pół roku potém wyszło toż dzieło po łacinie przełożone przez Krystyjana Reinekke w Lipsku, w 8ce, przeto praca Rutticha pozostała w rękopismie. Gdy mu się to nie udało, postanowił był w wolnych od obowiązku swego chwilach, przełożyć Alkoran na język polski.*) Mamy jego, oprócz przekładu duchownych pieśni, o czém Bentkowski w I. tomie (str. 250), następujące dzieło, w Toruniu u Jana Nicolai r. 1717 drukowane, w 4ce: *Skuteczna chrześcijan prawdziwych pociecha; kazanie na pogrzebie Adama Maciewskiego.* Żaden z naszych bibljografów nie wspomina szczegółowo o Ruttichu. *S. P.*

Rękopis kardynała Sforzy. Uczony Abbé Tito Cicconi wynalazł w jednéj biblijotece w Rzymie rękopis bijografii papieża Alexandra VII. przez kardynała Sforzę, zawierający między innemi bardzo ciekawe szczegóły o grassującém podówczas we Włoszech morowém powietrzu.

Glossarium łacińskie. We Francyi znaleziono łacińskie *glossarium* z 10go wieku i odświéżywszy chemicznémi środkami przez wilgoć zblakowane stronice, przekopijowano je dla biblijoteki królewskiéj. Znalezienie to na tém większą zasługuje uwagę, ileże większa część słów łacińskich, objaśniona jest narzeczem anglosaxońskiém. Uczony, który odkrył to *glossarium*, zowie się Karol Friri w Commercy i jest korespondującym członkiem towarzystw historycznych.

Rolnictwo. W jednéj gminie w departamencie Gard zaprowadzono dla dzieci praktyczną szkołę rolnictwa. Dwie roli pustego pola podzielono na ogrody warzywne, nasienne i płonniki. Leśniczy daje dzieciom naukę w pielęgnowaniu drzew, założyciel szkoły uczy ogrodnictwa, ksiądz pleban zastosowuje nową metodę uczenia, a obywatele z poblizkich okolic dają nasienie i t. d. Połowa dochodu należéć będzie do właściciela,

*) *Alkoran kontradykcyjami swemi wywrócony*, 1699; *z drukarni Chrystianopolitańskiéj.* (?) w 4ce.

jednę część drugiéj połowy dostaną uczniowie najpilniejsi, a reszta będzie sprzedana dla pokrycia kosztów łożonych.

Paganini i struna G. W jednym z tegorocznych numerów czasopisma *La Moda*, wychodzącego w Medyjolanie, znajdujemy ciekawą z francuzkiego dziennika wyjętą anegdotę o Paganinim, która miała się znajdować w jego własnem pismie obronnem *(Memoria apologetica)*, któréj naszym czytelnikom udzielamy, jako znakomitego dodatku do dziejów rozwinienia talentu tego wielkiego mistrza na skrzypcach: »W Lucca (mówi Paganini w pismie rzeczonem) dyrygowałem zawsze orkiestrą, ile razy tamże panująca podówczas księżniczka, Elżbiéta Bacciochi, na operze się znajdowała. Bywałem także często przywoływany do dworu, i tam śród zgromadzenia co dni czternaście dawałem akademiję wielką. Ale księżniczka Elżbiéta (siostra Napoleona) wychodziła zawsze przed ukończeniem jéj do drugiéj sali, ponieważ tony skrzypców moich sprawiały w niéj nazbyt wielką drażliwość nerwów. Jednego dnia kazałem u dworu ogłosić nową sztukę, pod tytułem: »Scena miłosna *(Scena amorosa)*,« która w wielkim stopniu powszechną obudziła ciekawość. Ale jeszcze większém było zadziwienie wszystkich przytomnych, gdym się ukazał ze skrzypcami, na których tylko dwie strony były naciągnione. Zostawiłem na nich tylko stronę G. i stronę E. Ostatnia miała wyrażać uczucia dziewczyny, a pierwsza miała naśladować głos śmiertelnie rozmiłowanego kochanka. Tym sposobem ułożyłem pewien rodzaj rozkochanéj rozmowy, w któréj najtkliwsze głosy następowały po wybuchach miłości. Raz dawał się słyszeć głos błagający, raz znowu głos narzekania; raz uderzał o ucho krzyk gniewu i radości, raz przenikał serce jęk bolu i zaspokojonéj tęsknoty. Muzykalna rozmowa ta kończyła się nareszcie pojednaniem kochanków zagniewanych, którzy jeszcze mocniejszą niż wprzódy do siebie rozpaleni miłością, odegrali *duet*, kończący się przepyszną *codą*. Scena ta podobała się niezmiernie, a księżniczka Elżbiéta, obsypawszy mię pochwałami, rzekła do mnie najłaskawszym sposobem w świecie: »Wćpan w istocie dokazałeś dwiema stronami rzeczy, która zdawała się być niepodobną. Wszelako mniemam, iż trudno, abyś wćpan na jednéj stronie te same trudności mógł pokonać.« Zachęcony taką pochwałą, przyrzekłem jéj, że będę się starał próbować. Myśl o tem przyrzeczeniu unosiła się nieustannie przed moją wyobraźnią jako ponętny cel, do którego miałem zdążyć, i nim jeszcze kilka tygodni upłynęło, skomponowałem *sonatę*, którąm odegrał d. 15. sierpnia w przytomności świetnego zgromadzenia całego dworu. To śmiałe przedsięwzięcie miało skutek, który przewyższył moje najśmielsze oczekiwania. Od téj chwili zaczyna się moje uprzedzone upodobanie do strony G. Publiczność nie mogła się nasłuchać *sonat*, które dla niéj pisałem; tym sposobem, nabywając przez ustawiczne ćwiczenie coraz większej łatwości, przyszedłem wreszcie do tego stopnia lekkości, któréj wszyscy się dziwią, a która podług tego, co powiedziałem, nic nie jest szczególnego.«

Warstwy węgli kamiennych. Wyrachowano w Anglii, że wszystkie warstwy węgli kamiennych jeszcze na 3000 lat wystarczą dla kraju. Spotrzebowanie tego artykułu wynosi w jednym roku 367 miljonów cetnarów, a przeszło 500.000 osób znajduje w kopalniach zatrudnienie i sposob utrzymania się.

Gwardyjak Napoleona. W paryzkim sądzie policyi poprawczéj, zaszła dnia 23. b. m. następująca na wpół śmieszna na wpół tkliwa scena: *Prezydent* (do pani Mezeray). »Czy mąż wćpani bił ją często?« *Pani Mezeray*. »Ależ p. prezydencie, ja się nikomu i nigdy na to nie skarżyłam.« *Prez.* »Wiem, sąsiedzi wszakże, których postępowanie męża wćpani gorszyło, zanieśli skargę przed królewskiego prokuratora.« *P. Mez.* »Sąsiedzi postąpili sobie niesprawiedliwie. Ja żyję z mężem swoim w najlepszéj zgodzie.« *Prez.* »Słowa te czynią wćpani zaszczyt, ale teraz stoisz przed sądem, gdzie trzeba całą prawdę powiedzieć.« *P. Mez.* (płacząc). »No, to i powiem prawdę.« *Prez.* »Czy mąż wćpani od dawna ma już zwyczaj bijania jéj?« *P. Mez.* »Od 1814 roku. Ale trzeba oddać mu sprawiedliwość, że czyni to ze zmartwienia, jakiego doznał, od kiedy cesarz przestał być cesarzem. Bo też mój mąż tak cesarza kochał!! Do tego czasu nie tknął on mnie nigdy ani palcem. Ale, po upadku cesarza, zaczął pijać i bić mnie z rozpaczy.« *Prez.* »Zdaje się, że bijał was srodze?« *P. Mez.* »O nie, p. prezydencie; dowodem tego jest, że mam się dobrze; nie złamał mi nigdy żadnéj kości.« *Prez.* (do oskarżonego). »Mezeray, słyszysz jak gorliwie żona stara się ciebie usprawiedliwić. Jesteś względem niéj bardzo winnym.« *Mezeray.* »To nie moja wina, że cesarza z tronu złożono.« *Prez.* »Ale też to nie może służyć za powód do bicia żony.« *Mez.* »Jestto coś nad moje siły. Kiedy o cesarzu wspomnę, krew zaraz rzuca mi się do głowy, i muszę koniecznie kogokolwiek wybić.« *Prez.* »I często o nim wspominasz.« *Mez.* »Co dnia.« *Pani M.* »Nie wierz jemu p. prezydencie. On się przechwala.« *Mezeray.* »Proszę ją samę zapytać, czy nie zaprzestałem był bijać ją wtedy, kiedy cesarz był wrócił?« *Pani M.* »To prawda. Od 20. marca obchodził się ze mną najlepiéj, co trwało przez cały kwiecień i maj, i dopiéro wrócił do swojego nałogu pod koniec czerwca.« *Mezeray.* »Po bitwie pod Waterloo, to rzecz jasna.« — Wyrokiem sądu, stary żołniérz skazany został na 3 miesiące więzienia, i prezydent uczynił żonie jego uwagę, że potem, jezli mąż bić jéj nie przestanie, będzie mogła prosić o separacyję. »O nie, p. prezydencie,« odpowiedziała pani M., »jest on ojcem moich dzieci i trzeba mu czasem wybaczyć. Jeźliby sąsiedzi nas nie oskarżyli, to je sama nigdybym się nie żaliła. Biédne moje mężysko!«

Stan artyleryi we Francyi. Francyja miała za Henryka IV. 400 dział artyleryi krajowej; w czasie śmierci Ludwika IV. 7.191; za Ludwika XV. 8.683; za Ludwika XVI. 10.007; za Napoleona (1813) 27.976.

Czas, w którym zaczęto wąsy i bródkę hiszpańskę nosić. Wielom zapewne nie wiadomo, jakim sposobem moda noszenia wąsów i bródki hiszpańskiej weszła do Europy; kronika stara daje w téj mierze objaśnienie następujące: Gdy Maurowie wkroczyli do Hiszpanii, zmieszał się lud chrześcijański z mahometańskim; trzeba więc było wymyśleć środek rozeznawania w okamgnieniu chrześcijan od pohańców. Z tego powodu chrześcijanie zapuścili sobie pod nosem jak liniję poprzeczną, wąsy, a pod dolną wargą bródkę spadającą w dół prostopadle, co było znakiem krzyża świętego; znamię to dało pierwszy powód do uniformowania żołnierzy. Ztąd wynika, że początek téj ozdoby twarzy był szlachetny.

Asekuracyja kapeluszów słomianych. Nie wiele mód zjednało sobie w nowszych czasach od publiczności męzkiéj tak jednomyślne pochwały, jak moda noszenia kapeluszów słomianych w Paryżu; widać je tam obecnie rozmaitéj wielkości, z nizkiemi i wysokiemi głowami, w kształcie głowy cukru, w formie kociołkowatej i cylindrowéj. Jeden fabrykant chcąc na swoje kapelusze zwrócić szczególniejszą uwagę, ogłosił publicznie, że wszystkie u niego kupione kapelusze są przez ogniowe towarzystwo *du Soleil* asekurowane, i że za wszystkie kupione u niego kapelusze, jeżeli udowodnioném będzie, że przez przypadek (od słońca) zgorzały, ofiaruje nowemi bezpłatnie wynagrodzenie.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*